

JANKO HAJDUK.

WSPOMNIENIA Z TURCYI.

Na końcu lata 1854 r., podczas gdy wojska sprzymierzone, wysłane przez Francją i Anglią na pomoc Turcyi, oczekiwały w obozie pomiędzy Warną i Szumlą, rozkazu rozpoczęcia kampanii, podróżowaliśmy zwolna drogami nieubitemi, ciągnącemi się wzdłuż koryta Dunaju. Nasz poczet składał się z dwóch oficerów sztabu wyższego stopnia, mających polecenie zdjęcia planów strategicznych z okolic Ruszczuka i Sylistryi, z autora téj opowieści podróżującego z nimi w stopniu tłumacza, z dwóch *kawassów* tureckich służących za przewodników i z trzech czy czterech żołnierzy ordynansów, służących nam do usługi, oraz prowadzenia koni jucznych. Mieliśmy oprócz tego rodzaj straży czyli eskorty z dziesięciu turkomańskich jeźdźców z Anatolii, pod dowództwem ich szauha, danych nam przez Ismaela Baszę, podczas naszego przejazdu przez Szumlę, w celu udzielania nam pomocy przeciw furażerom kozackim, zalegającym jeszcze Dobrucę.

Pułkownik D.... był człowiekiem najzdolniejszym do wykonania w zupełności podobnego zlecenia. Zamieszkując od lat kilku Turcyą, gdzie był odkomenderowanym jako oficer instruktor w służbie sułtana, znał gruntownie położenie kraju, miał czas obznajomić się z obyczajami Turków i nieźle poznać ich język. Towarzysz jego, major M., był oficerem sztabu, pracowitym i doskonałym topografem. Nasza mała karawana miała jeszcze jedną osobę posiadającą pewne swoje znaczenie: był to zuaw Tomasz

z 2go pułku, ordynans *ifaktotum* pułkownika, który oprócz tego był kucharzem karawany. Nie mogę zamilczeć o Turku Mahomedzie, jednym z naszych kawassów, typie starego Osmanizmu, poważnym, ceremonialnym i fanatycznym, postaci muzułmańskiej i mojego ordynansa Machomeda ben Mylud'a z pułku Turkusów, rodzaju ulicznika arabskiego, mieszańca krwi murzyńskiej i kabylskiej, łączącego w swojej osobie, próżniactwo, niedbalstwo i wesołość tych trzech ras afrykańskich.

Przejechawszy Totrakan, stanowisko wojskowe Bulgaryi, położone na urwistych skałach naprzeciw wioski wołoskiej Ottenicy, gdzie Turcy i Rossyanie znajdowali się jeszcze lubo rozdzieleni jedną z najgłośniejszych odnóg rzeki, weszliśmy w krainę górzystą i bagnistą zarazem, której podgórze przedłużało się w swych pochyłościach aż do Czarnego morza, składając zacząwszy od Sylistryi, rozległe doliny Dobruczy.

Po śmiertelnym marszu siedmio lub ośmio godzinnym, w pośród gęstych zarośli karłowatych dębczaków i dzikich grusz powycinanych ustępami i świeżo wykarczowanych wyrębów, wysforowaliśmy się wąską groblą naprzeciw wsi bułgarskiej, nazwanej przez naszych przewodników Srebrniją. Gdy nasi żołnierze zajmowali się rozbijaniem namiotów i służbą obozową, zostawiwszy majora M.... w poważnej rozprawie z Tomaszem, dotyczącej się składu naszego obiadu, pułkownik i ja zarówno ciekawi wszystkiemu się przypatrzeć, choć w celu zupełnie różniącym się od siebie, skorzystaliśmy z pierwszej wolnej chwili, ażeby skutecznie podczas *rasztaku* małą wycieczkę. Wieś, jeżeli można dać tę nazwę skupieniu lepianek zbudowanych tu i ówdzie, bez innego planu prócz potrzeby sąsiedzowania, zdała nam się większą niż można było sądzić z pierwszego wejrzenia, z przyczyny swojego położenia w głębinie doliny wydrążonej w kształcie lejka. Tłum kobiet i dzieci, któreśmy spotykali ugrupowanych przed domami, świadczył, że pomimo wojny, wioska nie była opuszczoną przez mieszkańców. Wszystko tu miało powierzchowność dostatku i czystości bardzo rzadkiej w Turcyi: Nad parkanami każdej zagrody dobrze otynkowanymi i pobielonemi wapnem, wznosiły się piękne grusze,

których gałęzie ugięły się pod ciężarem dojrzałych owoców. Mieszkanie popa odróżniało się od innych rodzajem piętra improwizowanego na facycie za pomocą deszczek przybitych i upstrzonych jaskrawymi kolorami, jak domy Bosforu. Obejrawszy przechodząc cerkiew bardzo lichą, w której znajdowała się jednakże dosyć wielka ilość srebrnych lamp pięknego wyrobu, postanowiliśmy udać się do baggola, czyli kupca korzennych towarów, osoby używającej pewnego znaczenia w wioskach bułgarskich, jako Greka, i jedynego przedstawiciela cudzoziemskiego przemysłu pomiędzy ludźmi przyzwyczajonemi sami sobie podobać w swych potrzebach. Znaleźliśmy go zajętym spieszniem uprzątnięciem kuf stojących przed domem, w których się znajdowały płody jego handlu. Zrozumieliśmy zaraz, że się dowiedział o naszym przybyciu i że się obawiał szczególnie dla swych towarów, obecności nieregularnych jeźdźców Anatolii. Zapytując się, jak mu idzie handel, staraliśmy się dowiedzieć o użytecznych dla nas wiadomościach krajowych, ale pytania nasze były nadaremne. Odpowiedział nam tylko, że pochodził z Burgass, z rodziny greckiej zajmującej się handlem, że się nazywał Stefano; że w tej wsi od lat trzydziestu trzymał sklep korzenny i że się przytem trudnił felczerstwem; że zaledwo zarabiał na swoje utrzymanie, ponieważ wioska podupadła od czasu gdy zaprzestano zajmować się kopalniami srebra i ołowiu, znajdującemi się w sąsiedztwie, i nareszcie że terazniejsza wojna zupełnie zniszczyła mieszkańców i wystawiała ich z jednej strony na rabunki kozaków, a z drugiej na zdzierstwa i złe obchodzenie się baszybuzuków, co zmusiło większą część ludzi zdolnych do pracy, do opuszczenia kraju, zostawiając go tymczasem opiece Boskiej i ich żon i dzieci. Wszystkie te objaśnienia były wymówione z nadzwyczajną szybkością przez chytrego Greka, w niezrozumiałym tureckim języku, i przerywane westchnieniami zwykłemi rajahom, gdy rozmawiają z Turkami lub cudzoziemcami. Pułkownik który nie lubił plotek, uciał krótko rozmowę, rozkazując Stefanowi tonem imponującym, żeby nas natychmiast zaprowadził do czorbadzkiego, rodzaju wójta wioski.

Usłyszawszy ten rozkaz, twarz Greka zmieniła się. Spojrzał około siebie i odpowiedział głosem tajemniczym: „JW. Panowie nie znajdują w całej wsi jednego człowieka noszącego brodę oprócz mnie. Czorbadzego nie masz u siebie, a choćby i był, możeby nie było roztropnem z panów strony spotkać się z nim. Nie dla tego, żeby Janko (tak mu na imię), miał być złym człowiekiem. Ja go znam od dziecka. Pochodzi z dawniej rodziny chrześcijańskiej i jest bogatym jak aga. Był on najweselszym i najlepszym młodzieńcem z okolicy; lecz od roku przeszłego jak się ożenił, lubi samotność, gdyż gdzie się tylko obróci, niesie ze sobą nieszczęście. Widzisz, panie effendi, dodał Stefano głosem tak przytłumionym, że go zaledwie dosłyszeć można było, pomiędzy nim i Turkami jest krew, krwina jak mówią tutejsi mieszkańcy.”

— Cóż za krzywdę wyrządzili mu Turcy? zapytałem, czy zabili kogo z jego rodziny, czy go wyzuli z posiadłości, że szuka zemsty nad nimi?

— Więcej jak to wszystko, effendi: odebrali mu szczęście domowego życia; z nikim się nie widuje, do nikogo nie mówi: nie można nigdy wiedzieć czy jest w swoim domu. Wchodzi i wychodzi ze wsi, a nikt się nie śmie zapytać gdzie idzie i co robi, ale się nie trudno tego domyślić. Zemsta mu ciąży, chwytą on więc każdą sposobność, ażeby się jęj pozbyć. Sąsiedzi mówią to i owo, a każdy sądzi podług swego widzimi się. Mnie się zdaje, że musiał on wykonać przysięgę, przed którąby zadrżał nie jeden, gdyby ją znał; ale lepiej o tém nie mówić. To jednak jest pewnem, że przeszło od roku zamordowano więcej niż trzydziestu Turków w Szumli, Rasgradzie, Rusztuku i Sylistryi, jako téż w okolicach tych miast, i że ręka która ich dotknęła nie wstrzymuje się dotąd; nie masz jednego osmanlego na sto mil w okrag, któryby dziś nie zadrżał na samo imię Janka hajduka; gdyż panowie muszą wiedzieć, że tak nazywają tych, którzy sobie sami wymierzają sprawiedliwość nad Turkami za pomocą swych karabinów. Mówią, że w Konstantynopolu naznaczono dziesięć tysięcy piastrow nagrody za jego głowę; lecz się jeszcze dotąd nikt nie znalazł tak odważny, żeby się o nią pokusił.

Pułkownik ruszył ramionami.—Pójdź z nami, rzekłem do Stefana, a przekonasz się, że oficerowie francuzcy nie obawiają się podobnego rozbójnika.

— Ja mam iść z panami do tego domu! zawołał z przestachem Stefano, nie poszedłbym, gdyby nawet szło o zbawienie mej duszy. Nie idź tam, panie effendi, na imię Boga! nie wchodź do tego domu, bo w nim śmierć zamieszkuje.

— Prawda, że podobna gospodyni jest zdolną oddalić chcących odwiedzić dom Janka, zawołałem zabierając się do wyjścia. Jak myślisz, pułkowniku? lecz tobie, któryś się z nią tak często spotykał, myślę, że nie będzie przykrem odnowienie znajomości.

— Co za obrzydłe obyczaje! zawołał pułkownik, jakby do siebie mówiąc. I my się tu znajdujemy dla opiekowania się narodem, który codziennie wyrządza podobne okropności przeciw swym współkrajowcom, a to jedynie dla tego że są chrześcianami.

Tak rozmawiając, przybyliśmy przed pomieszkaniem dawnego czorbadzego. Był to rozległy dom zbudowany w sposób bułgarski, mający bardziej uczciwą powierzchowność wiejskiego pomieszkania, niż jaskini rozbójników; lubo że parkan był mocno zbudowany i otoczony zewnętrznym rowem, chroniącym go od napadu, spostrzegliśmy z zadziwieniem, że furtka prowadząca do ogrodu, jako też wjezdna brama były otwarte, co nam dozwalało widzieć z jednej strony grządki jarzyn starannie uprawione, a z drugiej różnego rodzaju drób na gnoju, jak w normandzkim folwarku. Wszystko oznajmiało obecność gospodarzy, jakimibądź oni byli i miało powierzchowność spokoju i dostatku gościnnego, co mi dało do myślenia, że opowiadanie Stefana mogło być bajką. Już mieliśmy wejść, gdy usłyszał kogoś idącego za nami od strony małego rynku. Obejrzałem się i spostrzegłem jednego z naszych kawasów, który zatrzymawszy się raptem przed drzwiami kościoła, dawał nam do zrozumienia energicznym gestem, że byśmy nie szli dalej i nie wchodzili do domu Janka. Zawołałem na niego, żeby się zbliżył, co uczynił z widocznym wstrętem i wahaniem się.

— Czego chcesz, Mehmedzie? rzekłem do niego, czy cię major przysyła?

— Machallah! odpowiedział mi, przewracając przestraszonymi oczyma na wszystkie strony, czy ty wiesz, że tu idzie o twoje życie Tordżuman Beju, i o życie baszy francuzkiego, jeżeli wejdziecie do tego domu. To jest dom Janka hajduka, jednego ze synów Eblisa, wcielonego diabła, którego kule niosą śmierć gdzie mu się podoba i od których nikt się nie może uchronić. Nic nas tu dobrego nie czeka. Powiedz Mizalałowi, że odpowiadam za niego na moją głowę Ismailowi Baszy, niech więc wraca natychmiast do obozu, jeżeli nie chce być przyczyną nieszczęścia biednego człowieka.

— A więc to jest prawda co mówią o Janku? rzekłem do pułkownika, który słuchał nierozumiejąc przestachu kawassa, to tém bardziej trzeba wejść, żeby się przekonać co się tam dzieje. Pójdź z nami i nie zabieraj nam czasu twej banialukami. Jeżeli, jak się tego obawiasz, możemy narazić nasze życie, to nie trzeba żeby mówiono, że osmanli opuścił w niebezpieczeństwie swych wiernych sprzymierzeńców; jeżeli zaś w tém wszystkim jest tylko trochę kuglarstwa, to wiedz o tém, że posiadamy nieomylnie tajemnice zrywające wszelkie czary.

Mehmed, który należał do Turków staréj daty, ujęty tym sposobem w szlachetnych uczuciach, poniósł poważnie rękę do czoła poddając się naszym rozkazom, niewymówiwszy ani słowa. Weszliśmy wszyscy trzej na dziedziniec: był on rozległy i porządnie wybrukowany płaskimi kamieniami. Wewnątrz wznosił się główny budynek (koliba), służący za pomieszkanie; obok niego szopa z dachem, pod którą się znajdowały kufy i prassa służąca do wyciskania wina, jako téż inne rolnicze narzędzia. Z drugiéj strony domu były trzy czardaki czyli szopy, plecione z chrustu, służące za stajnię, oborę i stodołę; parkan z balasu oddzielał dziedziniec od ogrodu i składał pomieszkanie Janka. Wszystko to było schludne i porządnie utrzymane, wszędzie się przebijał dostatek i spokój życia rolniczego. Pierwszy jednak przedmiot, który nas uderzył, wchodząc, był koń osiodłany i omunsztukowany, przywiązany za lejce do słupa szopy. Był to przepyszny ogier gniadéj maści, ubrany z turecka w czaprak z czarnego sukna, haftowany wkoło złotym jedwabiem. Zdawał nam się

należć do nieoszacowanej rasy bałkańskiej, z kąd Bułgary sprowadzają swoje konie, mające nieomylnie nogi kozła dzikiego i grzbiet silny i nerwisty muła. Pułkownik, który był znawcą, wskazał mi, że choć boki konia były zupełnie spokojne i jego lśniąca się sierć nie była wcale spoconą i zakurzoną, miał jednakże nozdrza bardzo roztwarte i grzebał ziemię nogą: znak nieochybny, że przebiegł z szybkością długą przestrzeń. A jednak tak w domu jako też wokoło panowała zupełna cisza. Żaden głos, żaden ruch nie oznajmiał nam, że ten dom był zamieszkanym i że nas ktoś wyprzedził. Wielkie też było nasze zadziwienie i zawód, gdy wszedłszy pod szopę, znaleźliśmy dwie kobiety spokojnie siedzące, a które nam zasłaniała dotąd winna latorośl gęstemi okryta liśćmi. Jedna z tych kobiet nachylona nad małemi krosnami, co służą w Bułgarii do tkania aba, to jest ordynarnego sukna służącego do odzieży męskiej, była zupełnie zajęta swoją robotą. Miała na sobie szarą wełnianą sukmanę i zdawała się być podeszlą w wieku, lubo rodzaj kaptura z białego płótna wiszący na głowie i ramionach zakrywał nam jej oblicze. Druga ściągnęła zupełnie naszą uwagę jaskrawością i strojnością wieśniaczą swego ubioru podług mody krajowej. Była ubrana w zubun czyli tunikę z zielonej jedwabnej materii z bardzo wyciętym stanikiem na piersiach i rozciętymi rękawami aż do łokcia, pozwalającemi widzieć białą koszulę drobno fałdowaną i wyszywaną czerwonym jedwabiem. Na tém ubraniu była druga wierzchnia tunika, czyli raczej rodzaj spodnicy z czerwonego sukna, rozcięta z dwóch stron aż do bioder i obszyta srebrną frendzlą. Ubiór ten właściwy wieśniaczkom bułgarskim nazywa się *opregacza*. Jest on zwykle wyrabiany z sznureczków różnobarwnych pozszywanych razem i wystrzępionych na dole. Kształt tego ubioru przypomina niedokładnie krój tuniki lacedemońskiej. Kibić ścisnął mosiężny pozłacany pasek; bransolety z tegoż samego kruszcu zdobiły jej ręce. Miała włosy splecione wstążkami w szerokie kosy przeplatane złotemi blaszkami, składające kształt dyademu spiętego około głowy długimi srebrnymi spilkami. Pończochy z cienkiej białej wełny i skórzane brunatne sandały, przywiązane nakrzyż aż nad kostkę

czerwoną taśmą, składając koturny, uzupełniały ten strój zarówno bogaty jak oryginalny. Młoda kobieta była zajęta w tej chwili karmieniem dziecięcia, które trzymała na kolanach i tak pilnie zajmowała się tem macierzyńskim staraniem, że nie podniosła nawet głowy za naszym wejściem. Gdy do niej przemówił w narzeczu bułgarskiem, wcale się nie wylekła; lecz zwracając zwolna ku nam swój wzrok, okazała nam twarz, której piękność byłaby z pewnością zdolną wzbudzić nasze podziwienie, gdyby zarazem nie odpychała naszego wzroku piętnem nieszczęsnego wypadku lub ohydnej zwierzęcości. Jedno oko zdawało się być, gwałtownie wyrwanem i nie pozostawiało innego śladu, prócz zapadłej siniej blizny najstraszniejszego widoku. Jednak ta blizna szpecąc w sposób niepowetowany jedną z najcudniejszych postaci kobiecych jakieśmy napotkali pomiędzy Bułgarkami, nie zdołał jęj odjąć, ani doskonałości rysów, ani nieskazoności konturnów, ani lazuruwej przezroczystości jedyne go oka oglądającego światło, ani też tej gracy więcej wartującej niż piękność.

Dorozumiewałem się, że to żona Janka. Zapytania które jęj robiłem zostały bez odpowiedzi. Niepewny uśmiech błakający się po jęj ustach, jako też obojętność prawie dziecinna jęj oblicza, dały mi poznać, że jest w stanie idiotyzmu, w który ból i cierpienia pochłonęły jęj rozsądek; lecz nie zdołałem opisać okropności jaką przejęty zostałem, gdy spozstrzegł po niewyraźnym dźwięku, który usiłowała dać słyszeć pieszcząc swoje dziecię, że nieszczęśliwa kobieta miała ucięty język przez swych oprawców. Była niemą: tak więc gwałt i zbrodnia były zupełnemi. Mamżeż wyznać, że w tej chwili zrozumiałem po biciu mego serca, zemstę nieubłaganą, jaką mąż tej kobiety powinien zaprzysiądz zabójcom, którzy mu zarazem wydarli sławę, spokój i nadzieję całego życia.

— I cóż! pułkowniku, zawołałem, ludzie, którzy są zdolni popełnić podobne okropności, czy są warci żyć? a to wszystko, czy nieuniewinnia dostatecznie krwawych odwetów, jakich Janko zdaje się być uprawnionym w swoim przekonaniu spełniać na Turkach za pomocą swęj strzelby, w braku praw mogących pomścić zbrodnię ohydłą!

— Myśmy to samo robili w XVI stuleciu z Hugonotami, — odrzekł pułkownik, — wznosząc ramiona. Zapytaj się tej starej kobiety, może się od niej dowiemy, jak mamy sądzić o tém zdarzeniu.

Przybliżyłem się do staruszki. Ciągłe przy swoich krosnach, nie ruszyła się z miejsca, odwróciła tylko głowę, gdyśmy weszli. Oblicze jęj nie wyrażało ani trwogi, ani zadziwienia, tylko potulność i odrętwiałe poddanie się rajaha bułgarskiego, przywykłego uważać obecność cudzoziemców, jako zwiastunów gwałtów i zdzierstwa.

— Nie obawiajcie się niczego, matko, rzekłem do niej w narzeczu bułgarskiem. My nie jesteśmy Turkami, lecz oficerami francuzkiemi, podróżującemi w waszym kraju dla własnej przyjemności. Weszliśmy do Janka czerbadzkiego, wiedząc, że cudzoziemscy goście zawsze byli dobrze przyjęci w jego domu. Powiedz nam czy twój pan jest u siebie, lub nie?

Staruszka spojrzała smutnie na nas, nie odpowiedziała na zapytanie, tylko poniosłszy rękę do ust, dała nam zrozumieć gestem rozdierającym, że jęj także język ucięto i że mówić nie mogła.

— Domyślałem się tego, zawołałem, odwracając oczy. Barbarzyńcy zmuszeni byli zamknąć na wieki usta świadkowi, jak je zamknęli ofierze. Serce się wzdryga na podobne okrucieństwa. Ta kobieta widziała zbrodnię, a jest zmuszoną zagrzebać w swęj pamięci straszne zdarzenie, nie mogąc go oznajmić w obliczu ludzi inaczej, jak łzami i jękami. Zdaje mi się godniejszą politowania jak tamta, gdyż to zmuszone milczenie musi być dla niej udręczeniem, które się tylko z jęj życiem skończy". Raptowny wykrzyk kawassa zwrócił naszą uwagę w jego stronę.

— Allah! Allah! co to jest, zawołał, wskazując dziecko, które młoda matka przestawszy karmić, kołysała zwolna na kolanach. Zarazem pokazał nam palcem małą istotę z tym samym gestem okropności i obrzydzenia, jak gdyby spostrzegł węża.

— O co idzie, Mehmedzie? zawołałem, idąc ku niemu:

— Patrz, Tredjuman Beju, patrz na talizman, który dziecko gaura, — niech przekleństwo Allaha będzie nad nim! nosi na szyi. Wah! To być musi guwelbejaban (wilkczarownik), który utworzył ten naszyjnik z resztek swój straszliwej uczty.

Dziecię, któremu się jeszcze nie przypatrzyłem, wyglądało na mające pięć lub sześć miesięcy zaledwie. Ciało zupełnie nagie zdające się być silnie zbudowane, było żółtawego koloru, zdradzając dostatecznie pochodzenie tureckie, gdyż godném jest uwagi, że w ogólności dzieci bułgarskie rodząc się mają sadiastą cerę, która się później rozświecna mimo skwarów, a szczególniej w płci żeńskiej. Więc srogi Janko dozwalał żyć pod swym dachem owocowi swojej hańby. Nachyliwszy się jednak, żeby się przypatrzeć dziecku, ujrzałem około szyi dziecka, że wisiał w kształcie naszyjnika sznurek jedwabny, na którym były nawleczone szczątki ciała ludzkiego kształtu, których niepodobna mi było nie poznać; były to palce ucięte, jedne z nich już zupełnie skostniałe, inne powleczone jeszcze wyschłemi ściągaczami i skórą, lecz co było najokropniejszém, że dwa lub trzy z tych łupów, jeszcze świeże, walały piersi dziecka krwią spiekłą i zgniłém cielskiem.

Oślupiałem prawie przed temi trofeami ludożerstwa. Było widoczném, że jeżeli Janko nie udusił przy urodzeniu téj bękarciój latorośli nieprzyjacielskiej rasy wszczepionój w jego rodzinie, wskazując ją tym sposobem na wieczną zagładę, nie było to przez litość, lecz dla tego, żeby mieć ciągle przed oczyma rękojmię zakładu swój nieubłaganej zemsty przeciw Turkom, i żeby ściągnąć tym sposobem cały ciężar przekleństw wywołanych przez niego na ich głowy.

Podczas tych spostrzeżeń Mehmed nachylony nad młodą matką, która się zdawała nieczułą na wszystko, co ją otaczało, przypatrywał się zblizka, mrucząc imię Allaha, okropnej ozdobie zawieszonój na szyi jój niemo-włęcia.

— Patrz, Terdjuman Beju, rzekł do mnie, ocierając obfity pot ze swego ogorzałego czoła; wszystkie te palce

wykonywały namaz (ofiare) i były oczyszczone abdestem (ablucją, myciem): to są palce osmanlisów.

— A po czémże to poznajesz? zapytałem go z niejaką ciekawością.

— Po paznokciach, effendi: Orumsy (Grecy) mają palce śpiczaste i paznokcie w kształcie migdała; Bulgarowie mają je płaskie, twarde i czworograniaste, a końce ściśnięte, jak ziarno lebleby: osmanlisy tylko mają paznokcie z długim korzeniem podobne do okrągłych dachówek mocno wmurowanych.

Widząc, że się pułkownik niecierpliwił chcąc wyjść, stara niema stanąwszy szybko przed nami, prosiła nas błagalnym gestem, żeby wejść do domu.

Domyśliłem się, czego żąda i rzekłem do pułkownika trochę zdziwionego tym niespodziewanym napadem. Dobra staruszka mniema według przesądu krajowego, że nieszczęście spadłoby na jej dom, gdybyśmy wyszli ztąd, nie przyjąwszy choć małej oznaki gościnności, którą Bulgarowie poczytują za najświętszy obowiązek względem tych, których przyjmują pod swoim dachem. Nie wiem, czy cudzoziemiec nosi gdziekolwiekbyś indziej, jak w Bułgarii piękniejszą nazwę prigatela (przyjaciela); a zatem sprawiedliwem jest, ażeby nie odmawiał mniemanego szczęścia gospodarzowi, łamiąc się z nim chlebem, choćby tylko przez samą przyzwoitość.

— Ach do diabła! co powie na to M., odpowiedział pułkownik, patrząc na swój zegarek, gdy się dowie, żeśmy zapomnieli o godzinie obiadowej dla pokosztowania bułgarskiej kuchni?

Izba, do której weszliśmy, dosyć obszerna, mogła pomieścić pięćdziesiąt osób, była świeżo wybielona wapnem. Proste maty okrywały tu i owdzie podłogę z ubitej ziemi. Nie widać było innych mebli prócz dwóch wielkich dębowych stołów i takichże stołków. Na ścianach wisiały myśliwskie narzędzia nadzwyczajnej wielkości, w około zeschłe laurowe wience, dwa czy trzy instrumenta muzyczne dziwnego kształtu i różne kuchenne narzędzia z mosiądzu i miedzi. Ogromny kaflowy komin zajmował prawie jedną stronę izby. Obok niego znajdowały się małe drzwi prowadzące do tylnych komnat.

Pierwszy stół przeznaczony dla gości, był okryty białym obrusem lamowanym wokoło wystrzępioną frendzlą z wyrobu Bulgarek, a w którym bardzo celują. Trzy wielkie półmiski z kutego żelaza były napełnione, jeden baraniną duszoną z kaszą owsianą, drugi mamałygą pływającą w maśle, a trzeci leguminą z kukurudzy zabijaną śmietaną i jajami, okazując oku i powonieniu próbkę bułgarskiej kuchni, a która mimo drwin pułkownika wcaleby nie była obojętną samemu nawet majorowi M. Dwa bukłaki pełne słodkiego różowego wina, podobnego nieco do win Archipelagu i butelka śliwowicy dopełniały ucztę. Nakoniec talerze z fajansu wiedeńskiego, *brytwy* (noże) z drewnianymi wyrzynanymi i mosiądzem i miedzią nabijanymi trzonkami z ostrzem sinem, lecz wyborczego hartu składały nakrycie oznajmujące zamożność bardzo rzadką u biednych wieśniaków naddunajskich.

Gdyśmy kosztowali tych potraw, mniej dla zaspokojenia głodu, jak przez ciekawość, hałas dochodzący nas ze dworu zwrócił naszą uwagę i spostrzegliśmy twarz ogorzałą osmana szauha i pięciu czy sześciu jeźdźców z naszej eskorty, którzy nam przesyłali poufale oznaki przyjazne przez drzwi. Maruderując i blakając się po wsi podług ich zwyczaju nasi baszybuzuki, znalazłszy drzwi otwarte od zagrody Janka, weszli bez ceremonii. Ci hultaje rozmawiali w tej chwili ze staruszką tonem przyjaznym i prawie pieszczotliwym, którego umieją użyć Muzułmanie względem rajahów, nim dojdą do grózb i bicia. Zdawało mi się stósownem uprzedzić niezadowolnienie pułkownika, ostrzegając szauha, że najmniejsza krzywda wyrządzona przez niego lub jego podkomendnych w domu Janka, spadnie natychmiast na niego. Turkoman uśmiechnął się, pokazując długie białe i spiczaste zęby, jak u drapieżnego zwierza, który obawiając się bata swego poskromiciela, łąsi się przed nim. Potem powiedział surowo kilka słów do swoich towarzyszy broni i rabunków i wszyscy usiedli na ziemi, ażeby wygodniej pożywać placki kukurudzane, sér bawoli i ogórki, których im skwapliwie przyniosła dobra staruszka. Co się tyczy godnego Mehmeda, pozostał na boku, pogardzając uczest-

niezieniem w uczcie. Jako osmanlis, gardził on temi wałęsającymi się żołnierzami z Anatolii, których kampania 1853 roku ściągnęła z ich pustyń aż nad brzegi Dunaju; wojsko bez żołdu, którego usługi kosztowały więcej państwo ottomańskie, jak utrzymanie regularnej armii mimo trofeów Kalafatu i Giergiewa.

Pułkownik spojrzawszy powtórnie na zegarek, chciał wychodzić, gdy ujrzelśmy małe drzwi na pół osłonięte kominem otwierające się przed człowiekiem, którego niespodziewana obecność wzbudziła w nas najżywszą ciekawość.

— Z Bogom ostajcie! rzekł do nas nowo przybyły, podług zwykłego ukłonu Bulgarów, poniósłszy następnie rękę do ust i do czoła.

— U dubry czas poszał! odpowiedziałem mu. Był to Janko Hajduk, człowiek w całej sile wieku, mający 30 lub 35 lat, średniego wzrostu, ale postawy krzepkiej, zwiastującej olbrzymią siłę. Ubrany, jak prosty wieśniak bułgarski w sukmanę z brunatnego sukna z szerokimi spadającymi rękawami i obszernymi szarawarami, na głowie miał wysoką baranią czapkę, za obuwie służyły mu opaski (apostoły) przywiązane rzemykami około kostki aż do łytki. Koszula z białego cienkiego płótna haftowana na kołnierzu i mankietach czerwonym jedwabiem i kamizela z zielonej jedwabnej materii szamerowana sznurkami i srebrnymi guzikami, okazywały wyszukanie i staranność w ubraniu człowieka wyższego znaczenia. Koszula otwarta z przodu, podług krajowego zwyczaju odkrywała szerokie piersi tak obrosłe, jak futro dzikiego zwierza. Na wierzchu nosił szeroką opończę z białej wełny, ściśniętą pasem z bawolej skóry, przy którym oprócz ładownicy wisiały dwa szerokie olstra z żółtego safianu, wyszywane niebieskim jedwabiem, zawierające cały arsenał broni zaczepnej, tojest: kilicz rodzaj pałasza zakrzywionego z fabryki Damaszku w czerwonej safianowej pochwie, bułat z wyrobu Njausty, trzy lub cztery kindzały różnej długości i kształtu i dwie par pistoletów, z których najmniej ozdobne zwróciły jednak natychmiast naszą uwagę, gdyż to były przepyszne rewolwery szesciorurkowe niemieckiej fabryki. Miał oprócz tego za-

wieszony na plecach na czerwonym flintpasie żłobkowany sztuciec, bezwątpienia tego samego pochodzenia. Pod tém ciężkiém wojenném ubraniem, które nie zdawało się wcale przeszkadzać swobodzie jego ruchów, można było domyślać się nie tylko żelaznej woli człowieka gotowego bronić do ostatka swojego życia, lecz jeszcze śmiałości i zręczności bandyty będącego w ciągłych zapasach z groźnemi nieprzyjaciołmi. Oblicze tego człowieka było jeszcze szczególnie uderzające. Rysy choć nieregularne, miały tę piękność męską i marsową, jaką często spostrzegamy u Węgrów, Serbów, Wołochów i wszystkich plemion na pół wojowniczych wschodniej Europy; lecz były przyćmione smutkiem, który zdawał się robić wieczny rozbrat z uśmiechem. Siwe oczy iskrzące wśród gęstych brwi ożywiały jedynie to zimne i surowe oblicze, jak larwa bronzowa: były ruchliwe, niedowierzające, prawie dzikie, przypominające mimowolnie oczy dzikiego zwierza, czującego, że jest wytropionym przez myśliwych. Ogromne rude wąsy zakrywały całą spodnią część twarzy, a kędziory czarnych twardych włosów spadających nakształt grzywy na kark jego muskularny, nadawały jego obliczu jakieś niekreślone podobieństwo ze lwem. Jednakże mimo postaci prawdziwie przestraszającej, widać było w tonie, gestach i obejściu się tego człowieka potulną i dobroduszną powierzchowność, charakteryzującą rajaha bułgarskiego.

Nowo przybyły nie zdając się spostrzegać naszej ciekawości, usiadł za drugim stołem stojącym wewnątrz izby w przykątku komina o parę kroków od drzwi, któremi wszedł. Uważaliśmy, że nie złożył swój broni i nie zaniedbywał żadnej ostrożności mogącej go uchronić od niespodzianego napadu. Dobra staruszka przyniosła mu natychmiast jedzenie, lecz nie spojrzał nawet na nią ani się odezwał do niej. Chociaż się zdawał zajęty jedynie zaspokojeniem głodu, widać było, że całą uwagę zwrócił w tej chwili na podejrzanych gości, stojących jak gromada psów zgłodniałych przy drzwiach swego pomieszczenia.

— Jeżeli to co nam opowiadano, jest prawdziwém, zawolałem przerywając milczenie, to ty jesteś Janko Czorbaczy, ten którego dziś nazywają Jankiem Hajdukiem?...

— Tak, gospodynie, odpowiedział mi nachyliwszy z lekka głowę: jestem Janko.

— Życzyliśmy sobie widzieć cię, dodałem, żeby usłyszeć z twoich własnych ust nadzwyczajne zdarzenia, które nam o tobie opowiadano. Jesteśmy oficerowie cudzoziemscy, podróżujący wzdłuż Dunaju dla zasięgnięcia wiadomości o stanie kraju, a ludzie których widzisz są jeźdźcy redifu, dani nam przez baszę Szumli za eskortę.

— Pokój z wami pod moim dachem, rzekł Janko, lecz tu nie widzę, tylko mîr-alaia (pułkownika) francuzkiego i ciebie. Gdzież jest bimbaszy (major) co rysuje drogi, a którego sztuciec trafia do celu na 1000 kroków? Dlaczegoż został pod namiotem?..

— Ponieważ wiesz kto jesteśmy i w jakim celu przebiegamy ten kraj, rzekłem wpatrując się w niego, powinienem cię uprzedzić, że najmniejszy zamach z twój strony, przeciw nam lub ludziom którzy są z nami, ściągnąłby na ciebie straszną karę, a na którą niedługobyś czekał. Jakimbądź sposobem dowiedziałeś się kto jesteśmy i czy twoje zamiary są złe lub dobre, wiedz że masz do czynienia z ludźmi, którzy od swych nieprzyjaciół, ani nie żądają niczego, ani się nie obawiają.

— Choćbyście nawet nie pożywali byli mojej soli, rzekł Janko z prostotą, dostatecznym jest dla mnie że jesteście Francuzami, żebyście mi byli tak świętymi i nieetykalnymi jak mój ojciec i matka, i te razem anatolskie włóczęgi... Nie pierwszy to raz was spotykam. Widziałem was trzy tygodnie temu w Rasgradzie, gdzie się dowiedział kto jesteście; widziałem was powtórnie w Samalarze, nie ma jeszcze trzech dni. Wiem że przyjeżdżacie z obozu Omera baszy z Ruszczuka i że jedziecie do Sylistryi. Powiedz mîr-alauiowi, gospodynie, że jestem przyjacielem Francuzów. Wszyscy ich tu kochamy w moim kraju, bo są dobrymi jak my chrześcianami, walecznymi jak żelazo, i nieprzyjaciołmi niesprawiedliwości. Widziałem obóz francuzki pod Warną, a moje oczy nie mogły się nasycić jego widokiem. Jest to wielki naród. Niech mu Bóg kiedy natchnie myśl bronienia sprawy Bulgarów, jak to uczynił, jak mówił dla Ołahsów (Wolochów) z tamtej strony Dunaju.

Ponieważ nasza rozmowa toczyła się w bułgarskim narzeczu, którego pułkownik ani jednego słowa nie rozumiał, przetłumaczywszy mu ją naprędce ażeby uspokoić jego niecierpliwość, rzekłem do Janka po turecku:

— Jak to być może, że mówiąc po chrześcijańsku i jak człowiek roztropny, nie wahasz się jednak popełniać czynów które Bóg i prawa potępiają i sumienie nagania; gdyż nam powiedziano że porzuciłeś życie uczciwe ażeby dogodzić twojej żądzy zemsty, i że nie uznajesz innego prawa nad twój sztuciec?

Na to zapytanie, cała postać Janka zadrżała. Oczy rzucały błyskawice a ponura twarz przybrała tak straszny wyraz, że mimowolnie uchwyciłem za kolbę mego pistoletu zatknętego za pasem. Jednak zdołał powstrzymać dzikie wzruszenie i odpowiedział spokojnie:

— Francuzie! ty pierwszym jesteś, który śmiesz dotknąć tej rany, która się ciągle krwawić i jątrzyć będzie; lecz się nie gniewam na ciebie, ponieważ, gdyby nawet ta rana sama zdołała do ciebie przemówić, tobyś jeszcze nie zrozumiał boleści jakąś mi zrządził. Tak! powiedziano ci prawdę. Jestem wielkim grzesznikiem. Odebrałem życie ludziom w obliczu Boga, a ta ręka będzie ciągle krew przelewać dopóki zakład krwi niezostanie wypłaconym aż do ostatniej kropli. Lecz dlaczego mnie zapytujesz?.. Czy skradziono ci honor twojego łoża, światło twych ocz, połowę twój duszy? Czy cudzoziemiec, czy samowładzca jaki skalał twój dom jedną z tych plam, której nie zmasać nie zdoła? Czy jego ręka ośmieliła się wydrzeć ci to, co się nawet najnędnieszemu niewolnikowi pozostawia?.. Czy ci zabrano jak mnie, więcej jak połowę twojego życia?.... Jeśli tak nie jest, nie zdołasz pojąć, jak wysoko wznosić się może dług krwi, którego mam prawo żądać wypłaty od osmanlich, ani jak wiele mi jeszcze potrzeba kul, dopóki nie skończę z niemi rachunku i nie powiem sobie „dosyć”.

Zaledwie Janko wymówił te słowa, gdy spojrzenie jak błyskawica zapaliło jego oczy, jakby zdruzgotać chciało niewidzialnego nieprzyjaciela, zarazem schwytał za pistolet który nosił za pasem; lecz nim zdołał odwieść kurek, odgłos wystrzału przy naszych prawie uszach,

zagrzmiał i ujrzelśmy Mehmeda z osłupiałemi oczyma i najeżoną brodą, grożącego Jankowi.

— Psie giaurze! krzychał głosem przyduszonym wściekłością. Odbierz zapłatę od osmanlego i niechaj będzie ostatnią.

Pułkownik zerwał się i stanął pomiędzy dwoma przeciwnikami. Mehmed wystrzelił z takim pośpiechem, że jego kula dotknęła zaledwo włosów Janka i splaszczyla się na murze. Jeden rzut oka był dostatecznym dla niego, żeby się przekonał że niespodziewany atak, którego o mało że nie padł ofiarą, był z nienawiści osobistej kawassa i żeśmy nie mieli w tej zasadzce żadnego udziału. Panując nad sobą z dziwną siłą, zamiast odpowiedzieć wystrzałem przeciwnikowi, położył pistolet na stole z zimną krwią, jakby był zupełnie obcym temu wypadkowi. Z ich strony baszybuzuki wyrwani ze snu na odgłos wystrzału i zawsze gotowi do popłochu, w jednym mgnieniu oka zerwali się na nogi i wpadli do izby trzymając się zdala i udzielając sobie wrażenia hałaśliwemi wykrzyknikami.

Pułkownik był strasznie zagniewany.

— Powiedz pan tym łotrom, że wpakuję w łeb kulę pierwszemu z nich, który się dotknie swęj broni. A ty, mówiąc do kawassa, zasłużyłeś żeby ci rękę ucięto za to, żeś się ośmielił strzelić bez mego rozkazu i w mojej obecności do człowieka, którego jesteśmy gośćmi, dopóki jesteśmy pod jego dachem. Wiedz, że nie jesteś teraz w służbie baszy, żebyś wymierzał sprawiedliwość po turecku, lecz pod rozkazami oficera francuzkiego, którego powinienesz czekać rozkazów pod karą śmierci. Idź precz i podziękuj swojej niezręczności, żeś nie otrzymał lepszej nauki.

— Machallah! słyszeć, to być posłusznym, odpowiedział potulnie Mehmed wznosząc rękę do czoła.

— Odpraw pan tę hołotę, rzekł do mnie pułkownik wskazując baszybuzuków. Widzisz, rzekł do Janka, że możesz nam zaufać, jak my tobie ufamy. Miałbym prawo zapytać się o twoje postępowanie, ponieważ jestem sprzymierzeńcem Turków, a tém samém twoim nieprzyjacielem; lecz zdajesz mi się być rozsądnym człowie-

kiem, popchniętym ku zbrodni przez zemstę a nie prawdziwym przestępcą. Zresztą jestem tu twoim gościem a nie sędzią; jeśli jesteś jeszcze zdolnym, jak mniemam usłuchać głosu twego sumienia, jemu pozostawiam karę.

— Posłuchaj, baszo, rzekł Janko wyciągając rękę uroczyście, i ty także Teraliuman Beju, słuchajcie obadwaj co wam powiem, i ważcie słowa człowieka, który was niemyśli oszukać... Znajdziecie je sprawiedliwemi i jasnymi jak złoto. Jesteście Francuzami, w waszym kraju istnieją prawa chroniące sławę ludzi i skromność kobiet, karzące gwałt i zdradę, oddające sprawiedliwość słabemu i karzące niesprawiedliwość możnych. Barbarzyńcy nigdy nie przyszli, żeby wam wydrzeć wasze żony z łóża małżeńskiego lub zabrać wasze córki z łona ich matek, ażeby zbezczęścić co jest najczystsze w oczach ludzi. Nigdy tortury tych smutnych ofiar nie okryły waszych domów żalobą wstydu, ani splamiły waszych ognisk krwią niewinną. Owoc gwałtu i spodlenia poczęty w ich łonach nie wypiętnował na waszych rodzinach wiecznej hańby, nie splamił waszego nazwiska, nie poniósł śmierci w wasze serca nim bić przestało. Cudzoziemcy! oto co mi Turcy wyrządzili. A teraz bądźcie sędziami pomiędzy mną i nimi i zważywszy zbrodnię, oszacujcie sumienie cenę wykupu.

Urodziłem się w tej wsi, lecz moja rodzina jest z Tarnowa świętego, stolicy naszych ostatnich królów. Mój ojciec lubo najdawniejszy potomek chrześcian z kraju, był puszkarzem i mieszkał nad rzeką Jantrą toczącą złoto w swych piaskach. Zręczny i wyćwiczony w swoim rzemiośle był nadewszystko sławnym w topieniu kruszców. Basza Widyniu dowiedziawszy się o tém, sprowadził go, żeby mu oddać zarząd nad górnikami w kopalniach ołowiu i srebra, istniejących wówczas w Srebreniu. Dorobiwszy się majątku i będąc jednym z najpierwszych rajahów w kraju, nie myślał o czém inném, jak tylko żeby mieć wolnym i niepodległym uczynić. W tym celu, zamiast mnie wychowywać w mieście, gdziebym się tylko płaszczył pod despotyzmem tureckim nauczył, zaledwo zdołałem rozróżnić rękę lewą od prawej, wysłał mnie do klasztoru Karlików, w pobliżu

Plewienia, gdzie więcej nad trzystu mnichów żyło świątobliwie podług rytuału bułgarskiego. Zostałem tam aż do ośmnastego roku, uchroniony przed nieprzyjaciołmi mojej religii i mojego plemienia, nierobiąc wielkich postępów w teologii i grammatyce, lecz za to ćwicząc się w używaniu wszelkiego rodzaju broni i uśmierzaniu koni pasących się na pastwiskach nad brzegami Witu, najdzielniejszych z Turcyi. Mój ojciec widząc że nie miałem powołania z ikonnego stanu, dał mi zarząd wielkiego folwarku nad brzegami Karahany blisko Rasgradu, gdzie zajmowałem się hodowaniem pięknej stadniny składającej się ze stu klaczy z ich żrebiętami i ogierami. Tam przepędziłem kilka lat zupełnie panem u siebie i wolnym jak powietrze, nieznając ani uciech ani udręczeń domowego pożycia. Nie czułem wówczas dla Turków ani zemsty ani uszanowania, nie mając z nimi styczności, tylko na jarmarkach w Szarkeninie, Giumie i Karsu, gdzie jeździłem sprzedawać konie. Po dobitym targu odbierałem pieniądze nie troszcząc się czy pochodziły od chrześcianina lub muzułmana i wracałem do moich pastwisk. Jednak odwiedzali mnie czasami młodzi ludzie, moi rodacy i zabierali mię z sobą do sąsiednich włości. Podczas żniw spotykaliśmy żniwiarzy naddunajskich a wieczorami piliśmy i bawili się razem w pośród stert snopów. Lubo już byłem dorosłym mężczyzną, nie lubiłem innych zabaw, nieświadomy że istnieją na świecie inne namiętności. Jednak gdy śpiewałem popiewki bułgarskie wtorując sobie na teorbanie, czegom się nauczył od cygana bardzo zręcznego w leczeniu koni, spostrzegłem że dziewczęta z Rasgradu chętnie mię słuchały; a gdy przychodziła na mnie kolęj prowadzenia koła, mogłem bez obawy odmowy wybierać pomiędzy najpiękniejszymi moją kołowadice. Pewnego dnia, córka jednego z ajanów (starszy) przybyła na podobną zabawę, i gdy się tylko okazała, zapomniałem o wszystkich innych kobietach. Patrząc na nią, moje oczy były zachwycone jej pięknością, a gdym z nią mówił, serce szło w wyścigi za mojemi oczyma. Dowiedziałem się nareszcie co to jest miłość. Lepszémby było, żeby to serce wówczas bić przestało! Byłbym

żyć przestał dotknąwszy zaledwie kielicha szczęścia, niewychyliwszy aż do dna trucizny, pomieszanę z jego rozkoszami. Lecz byłem młody i nieznając życia i jego kolei, chciałem go tylko wesoło przepędzić. Maryca miała wtenczas lat piętnaście. Była piękną i dumną jak panagia (madona), kochałem ją całą wiara, jaką miałem w przyszłość. Ona mię także pokochała i uznała mię za swego władzcę; przysięgliśmy sobie złączyć się węzłem małżeńskim, i używaliśmy przez lat kilka anielskiej rozkoszy. W tym czasie umarł mój ojciec obciążony laty, a ja powróciłem do Grebrni do matki i zająłem miejsce naczelnika rodziny; wkrótce wybrany zostałem przez ajanów gminy na czorbadzego (wójta). Wtenczas to po raz pierwszy poznałem Turków i zmierzyłem odstęp rozdzielający rajaha od osmanlisa. Delegowany przez gminę do uiszczania podatków muhassifiemu (poborcy) Sylistryi, i przedstawiania zaskarżeń przed mehkemet (trybunał) baszy, wiele często ucierpiałem z ich niesprawiedliwości, wiarołomstwa i gwałtów. Zobaczyłem jasno to, co wy, chrześciance Frankowie nie zdołalibyście nawet pojąć, że prawo zwycięzcy nad zwyciężonymi trwa ciągle w naszym kraju, i jest ciągle jedynym prawem Turków względem biednych chrześcian bułgarskich. Lepiejby było dla nas być w stanie niewolnictwa; gdyż niewolnik jeżeli jest bitym i przywiązany jak pies do swego właściciela, to jest przynajmniej żywionym przez niego: człowiek wolny żyje ze swojej pracy pod opieką prawa; lecz my, biedne rajahy, żyjemy w ciągłej obawie nie będąc niewolnikami, oddani sobie samym bez wolności, używamy dzisiaj owoców naszej pracy, pozbawieni nadziei, że ję jutro używać będziemy mogli, nie mogąc nabyć żadnej posiadłości, którejbyśmy mieli pewność być właścicielami..... I tak, jesteśmy dziećmi wydziedziczonymi w rodzinie narodów chrześciańskich.

Pola, które karczujemy do nas nie należą. Zaledwo, że je użyznimy naszym potem, bej je zabiera, ponieważ jest Turkiem, a my jesteśmy chrześcianami. Jego kiahia (intendent) jest panem nałożyć na nas nowe warunki, lub zerwać idjaret (kontrakt) w czasie, kiedy dojrzewają

kłosa i wolno mu je zebrać i oddać nasze pola innemu dzierżawcy, nie zostawiwszy nam nawet kawałka chleba; nasze ręce do nas należą wtenczas, jeżeli ich służba bejlika nie wymaga. Najmniejszy z jego oficerów ma prawo wygnać nas z naszych domów. Nasze bawoły i konie są zawsze na ich rozkazy i służą do przewozu żywności i furazu, czasami o sześćdziesiąt mil, a żony i dzieci nasze patrzą ze zgrozą na urodzaj roczny gnijący na pniu z przyczyny braku rąk. Jeżeli się żalimy, to nas lżą i biją, jeżeli uciekamy to palą nasze wozy i ścigają nas, jak dzikie zwierzęta. Nie masz dla nas litości; nie ma nawet sprawiedliwości. Jesteśmy niewiernymi gjaurami, jak nas zowią ci nędzni bałwochwalcy. Widzę, cudzoziemcy, że zaledwo chcecie temu wierzyć: a jednak! wszystko to jest jeszcze niczém w porównaniu, co chrześcianie, bracia wasi lubo tylko biedni wieśniacy bułgarscy często znoszą. Nie potrząsajcie głowami, nie zamykajcie ucha na jęk prawdy, dla tego, że to usta hajduka mówią. Opowiadałam wam moje przygody, lecz to są także zdarzenia innych ofiar, które się już żalić nie mogą, ponieważ śmierć jest niemą. Ah! cierpieć cieleśnie jest niczém, dopóki dusza jest wolną, dopóki jest panią siebie samej, swych wspomnień, swych nadziei, swojego przywiązania; lecz widzieć wydarte zdradą te dobra, o które się stoi więcej, jak o życie, ponieważ bez nich nie wartoby żyć, utracić w rozpacz, we wstydzie, w upodleniu istnienia nietylko szczęście, ale aż do życzeń szczęścia, oto co woła o zemstę, oto co wznieca gniew ludzi i przekleństwo boskie na tę rasę bezbożną i lubieżną, która niedosyć zadowolona, że nas obdziera ze wszystkiego, hańbi nas w tém, co mamy najdroższego i najświętszego: skromność naszych żon, niewinność naszych córek, czystość naszej krwi.

Żadne słowa nie są zdolne opisać wyrazu fizyognomii Janka, gdy wypowiadał te żale z dziką wymową. Jego oczy iskrzące się jak rozżarzone węgle, nozdrza rozszerzone pogardą, oburzeniem, zemstą, nadawały mu postać rozgniewanego lwa. Jego głos do głuchy i przytłumiony wzruszeniem, to znów rozlegający się gwałtownie, odbijał się o nasze uszy, jak echo dzwonu. Było coś strasznego w tym wybuchu duszy dzikiej i energicznej,

oburzonej i uniesionej namiętnościami bez granic przeciw swoim ciemnizyicielom. Pod postacią naddunajskiego wieśniaka zdawało mi się słyszeć ofiary starożytnego fatalizmu rzucające swe skargi i poświęcające swą zemstę nieubłaganemu przeznaczeniu.

— To co moje oczy widziały. Cudzoziemcy! mówił dalej, mój językby się zużył opowiadając; lecz w dniu sądu ostatecznego, kości znieważone ofiar, poniosą tego świadectwo. Nigdy zaraza nie pozostawiła tyle rodzin w żałobie, ile zwierzęce bezecności popełnione przez Turków i rozsiane wszędzie po ich przechodzie, jak bicz boży. Widziałem porwania, gwałty, i różne rodzaje zbezczeszczenia, niosące zniszczenie i rozpacz pod nasze strzechy; matki niechące być pocieszonemi, mężczyźni spragnieni zemsty, opuszczający lemiesz i chwytający za strzelbę, domagając się w pośród gór nieprzystępnych za pomocą kul, wypłaty krwi. Lecz dopóki wierzyłem w szczęście mi przyrzeczone, zaledwo znajdowało się miejsce dla litości w mojem sercu, a nie istniało jeszcze dla gniewu lub zemsty. Jedna tylko namiętność zapełniała go całe. Nie widziałem nic w świecie oprócz téj, którą kochałem; nie żyłem tylko przez nią i w nią. Zaszlepiiony! w tém to właśnie miałem zostać dotkniętém nieszczęściem sto razy straszniejszém, jak sama śmierć.

Żałoba po moim ojcu, obowiązki mojego urzędowania i moje własne interesa zatrzymały mię dłużej roku w Srebrnii, nie mogąc się widywać z moją narzeczoną. Nareszcie przeszłego lata, drugiego dnia świąt wielkanocnych pojechałem z moją matką do Rosgradu w celu żądania jęj ręki i zawiezienia jęj rodzinie zadatku ślubnego. Wkrótce potem Maryca i ja zostaliśmy złączeni przed Bogiem. Zaraz po ślubie wsiedliśmy na koń i do wozów otoczeni przez wielu krewnych, przyjaciół i zaproszonych udaliśmy się do Srebrnii, gdzie się miało odbyć wesele. Lecz za naszym przybyciem zamiast być radośnie przyjętemi, zastaliśmy mieszkańców przerażonych. Żołdactwo tureckie przebiegało wieś, wybierając jęczmień, słomę i podwody dla służby bejlika. Zaledwie przybyliśmy do domu, gdy kwaterymistrze weszli, żądając

u mnie kwaterek dla baszy jadącego z Widynia do Sylistryi.

Choć mię to niezmiernie zmartwiło że musiałem pożegnać moich gości w podobném zdarzeniu, nie mogłem się jednak upominać w obawie, żeby nie ściągnąć na nich jakich nieprzyjemności lub obelg.

Oddałem więc Turkom moje pomieszkane wraz ze wszystkiem co było przygotowanem na wesele, nie myśląc jak tylko o tém, żeby ukryć moją żonę przed ich oczyma. Na nieszczęście basza przybył do domu ze swoją świtą w chwili, gdyśmy się wybierali w drogę.

Piękność Marycy, którą spostrzegł bez welona w pośrodku nas, zadziwiła go i zapaliła w nim chęć posiadania jęj. Jednak zdołał to ukryć, a dowiedziawszy się o tém, że jestem czorbadzem, zatrzymał mię przy sobie pod pozorem dania mi swoich rozkazów, ścigając wzrokiem namiętnęj żądzy moją towarzyszkę. Nie potrzebowałem zalecać jęj ostrożności i opiece mojej matki i krewnych, jednak gdy przyszło do rozstania, zadrżałem, widząc ją oddalającą się i to rozstanie bez pożegnania na progu małżeńskiego domu ścisnęło mi serce złowrogiem przecuciem.

Basza rozkazał zaraz zawołać bimbaszę dowodzącego oddziałem i nakazawszy rozpiścić ilość jęczmienia i słomy, jaką można było znaleźć we wsi, jakoteż podwód potrzebnych do przewiezienia, rozkazał mi samemu odprowadzić ten konwój aż do Sylistryi i zdać z tego rachunek pod utratą głowy, baszy komendantowi twierdzy. Tłumaczyłem się mu, że nie będąc sam obecnym przy ładowaniu rekwizycyi, nie mogę odpowiadać, tylko za ilość podwód powierzonych mojej straży, a nie za ładunek. Rozśmiał się tylko na to i kazał mi natychmiast wypełnić swój rozkaz. Przedstawiłem mu pokornie, że nie mogę opuścić moich gości przybyłych ze mną z Rasgradu, spodziewając się tym sposobem odwrócić prawdziwą przyczynę mego niepokoju. Nie wiem, czy nędznik domyślił się tego, lecz się jeszcze bardziej śmiać zaczął, dodając, że służba sułtana była pierwszą nad wszystko i że będę miał czas za powrotem zająć się moimi interesami. Pojechałem więc, przeklinając Turków i moją

nieszczęśliwą gwiazdę, która mię prowadziła w tę matnię. Jeżeli radość towarzyszyła mi do Srebrnii, w tej podróży smutek tylko był moim udziałem. Myśląc o skarbie, który zostawiłem, byłem przejęty niecierpliwością i rozpaczą. Konie postępowały zwolna, a jabym był chciał przebyć tę przestrzeń lotem ptaka.

Przybyłem nareszcie z moim konwojem do Sylistryi i natychmiast udałem się do magazynów rządowych spełnić moje zlecenie. Jak tylko zostałem wolnym, kupiłem od armenijskiego kupca, turkomańskiego ogiera lekkiego jak wiatr i puściłem się na nim całym pędem ku Srebrnii. Orzeł nie szybuje hyżej ku swemu gniazdu, jak ja pod dach, pod którym zostawiłem to co najwięcej kochałem. Nie mierząc przestrzeni, przebiegłem ją w jednym dniu i przybyłem do wsi o pierwszej w nocy. Tentent szalony mojego konia rozbudził jedynie ciszę panującą wokoło. Przybywszy do parkanu mojego domu, zadziwiłem się, znalazłszy drzwi otwarte. Ostatnie ściśnięcie ostróg rzuciły mojego dzielnego bieguna w środek dziedzińca, lecz zaledwie z niego zsiadłem, padł jak kamień na ziemię. Jednym skokiem znalazłem się przy drzwiach, uczułem, drżąc, że się otwarły za mojem pchnięciem: nie były zamknięte. Postąpiłem ku izbie i zatrzymałem się, nie śmiejąc iść dalej. Lampa nie świeciła się jak zwykle: ciemność była tak wielka, że mię przestraszała. Nastawiłem ucha i nic nie usłyszałem prócz bicia mojego serca w piersiach. „Oszalałem, pomyślałem sobie: wszyscy spoczywają o tej godzinie” i znów postąpiłem parę kroków, hałaśliwie uderzając naumyślnie w stół, przy którym siedzicie. Zawolałem po imieniu na służące sypiające zwykle w sąsiedniej izbie: nie otrzymałem żadnej odpowiedzi. Cofnąłem się ku drzwiom, nie odwracając się i z ręką na rękojęści mojego pugińału, jak gdybym się myślał bronić przeciw tej straszliwej ciszy. Myśli krzyżowały się w mej głowie, a nie mogłem żadnej uchwycić: byłem, jakby opity. Znów chciałem zawołać, lecz język był sparaliżowany; pomyślałem obudzić wolarzy, ale nogi nie chciały mi służyć; próbowałem znaleźć krzesiwo, które przy sobie nosiłem, lecz ręce były martwe. Oparłem się o drzwi, żeby nie upaść. Cudzoziemcy! nie wi-

działem, nie wiedziałem jeszcze o niczym, a jednak byłem dotknięty w serce, jakby już dla mnie nie było żadnej tajemnicy.

Wtém nagle przedłużony jęk pochodzący ze środka izby odbił się o moje ucho: wstrząsłem się przestraszony... Wyteżyłem słuch... był to głos mojej matki.... a jednak, nie był to jój-głos zwykły, lecz coś okropnego jak chrapanie konającego, lub krzyk wydobyty złym snem. Krew mi w żyłach zastygła i uczułem że martwieję.... Jednak nadmiar przestachu zwrócił mi siły. Podeszedłem ku środkowi izby wołając całą siłą na matkę i żonę. Podobny jęk pierwszemu odpowiedział mi... Nie było już wątplenia: to był głos mojej matki.... Rzucić się ku kominowi, grzebać popiół moim sztyletem, wydobyć kilka iskier a wkrótce dość ognia, ażeby zapalić lampę znajdującą się pod ręką.... jak to wszystko wykonałem? nie mogę tego powiedzieć; lecz pierwsze promienie lampy nie były szybsze od moich ocz. Ujrzałem moję matkę przykuczoną w zakątku komina, z osłoniętą głową welonem spadającym jój aż do kolan. Odsłoniłem welon, który trzymała przy ustach: był krwią zbaczony. Drżącą ręką szukałem rany, lecz nim ją znalazłem, jój wejście zawiadomiło mię o wszystkim.... Zbrodnia do niewierzenia została dokonana przez Turków i była niepowetowaną: moja matka była niemą!.. Barbarzyńcy, żeby jój uskarżać się zabronić, ucięli jój język. Szalony bólem i przestachem uchwyciłem za lampę i rzuciłem się do sąsiedniej izby, wołając rozpaczliwie na Marycę. Moja matka dobyteła resztę sił i przyczołgała się na kolanach aż do mnie. Nie mogąc mówić, wzniosła swe ręce ku niebu jakby go chciała wziąć za świadka strasznój rzeczywistości.... Lecz w tej chwili ręka Boga samego nie byłaby mię wstrzymała. Wszedłem do izby odepchnawszy gwałtownie drzwi... Tak prawdziwie jak Chrystus zmartwychwstał!... Ujrzałem Marycę moją narzeczoną, moją małżonkę, światło mych ocz, połowę mojego życia, rozciągniętą na łożu małżeńskim, łożu boleści.... zbaczoną krwią, poranioną, zbyszczoną, nieprzytomną, w zapasach z boleściami ciała i duszy... ujrzałem ją i moje serce umarło w moich piersiach.. W miejscu tej, którą kochałem, znalazłem zeszepecone obli-

cze, ciało skalane, istotę bez rozsądku.... Maryca była niemą!... Maryca oszalała!... Cudzoziemcy! brakuje mi wyrazów, żeby wam dać uczuć to, czego może żaden człowiek prócz mnie nie ucierpiał.... Zdobyłem się jednak na siły ażeby żyć, lecz jedynie dla tego, żeby zemsta wyrównała zbrodni. Widzieliście tę niewinną ofiarę zwierzęcości i okrucieństwa Turków, której przysiągłem wierność przed ołtarzem, a którą nie śmiem i nie mogę nawet nazywać moją żoną; ponieważ nasz związek został zatrutym w samym zarodku i przyniósł tylko owoc przekleństwa i hańby. Biedna istota nie wie o mojem i swoim nieszczęściu; lecz zdołałem dowiedzieć się o tém przez inne nieme usta: moja matka odkryła mi wszystko. Po odjeździe konwoju, który zmuszony byłem poprowadzić do Sylistryi, basza rozkazał swoim szlachom szukać Marycy po wszystkich domach wsi; ujeli ją gdy wyjeżdżała do Rasgradu ze swoimi krewnymi, i przyprowadzili do mojego domu. Moja matka znalazła w sobie dosyć odwagi, żeby jęj towarzyszyć. Basza rozkazał swojej eskorcie, ażeby się udała naprzód w drogę, niezatrzymując przy sobie, tylko swoich służących, niewolników jego woli. Ani on ani jego współpracownicy nie mieli się czego obawiać: nie pozostał nikt we wsi, oprócz zgnębionych kobiet i przestraszonych dzieci. Użył z kolei względem Marycy próśb i pogroźek, żeby ją nakłonić do zerwania zemną związku małżeńskiego i przejścia na religią mahometańską, przyrzekając jęj pierwsze miejsce w swoim seraju. Lecz nic nie zdołało nakłonić odważnej dziewczicy do złamania mi wierności. Uniesiony chucią namiętności, udał się do gwałtu. Dwie biedne kobiety napróżno usiłowały walczyć przeciw swoim oprawcom; związano je rozkazem baszy i zmuszono do wiecznego milczenia: ucięto im języki. Nakoniec, czemu wy chrześcijanie nie chcielibyście dać wiary, gdybyście nie widzieli śladu oskarżyciela, mszcząc się za opór jaki mu stawiała Maryca, miał tyle okrucieństwa, że dopełnił zbrodni ostatnim występkiem. Wepchnąwszy swój przeklęty palec w jęj oko, wyrwał go ze swego oczodołu.

Oto co gesta i wzrok mojej matki oznajmiły mi, oto jest tajemnica mojej zemsty. Czas wyleczył dwie nie-

szczęśliwe ofiary z ich ran; lecz ta, którą noszę w głębi
mojego serca, jest niewyleczoną....

Od tego fatalnego dnia, przestałem żyć z mojami bliźniami. Jak człowiek dotknięty złem wejrzeniem (ureszi) unikałem ich, żeby im nieszczęścia nie udzielić. Ciągłe na koniu, ciągle błakający się w pośród najsamotniejszych puszczy unikałem ich towarzystwa, czyli raczej uciekałem przed sobą samym. Życie stało mi się nieznośnym ciężarem, a jednak nie mogłem się go pozbyć; gdyż już nie byłem panem mojego przeznaczenia. Miałem krew do wykupienia; lecz jaka jej miała być ilość? To, czego nie śmiałem jeszcze oznaczyć, w obawie uczynienia zawiele dla sprawiedliwości a nie zadosyć mojej zemście. Nakoniec ostatnia niedola, zniewaga dopełniły miarę moich nieszczęść. Po kilku miesiącach dowiedziałem się, że Maryca nie wiedząc nawet o tém, wkrótce będzie matką. Wówczas to wykonałem przysięgę, o której nie śmiem sam pomyśleć, żeby niezadrzyć. Słuchajcie cudzoziemcy!... Zaprzysiągłem na chlebie i soli, na krzyżu Zbawiciela i sztylęcie, na popiołach mojego ojca, na sławie mojego rodu, na mojem wiecznem zbawieniu, że zbrodnia osmanlisów będzie odkupioną w stójnasób i wziąłem za świadków téj przysięgi wszystkie potęgi nieba i piekła. Moja dusza jest związaną tym strasznym ślubem, a moja ręka jest mu poświęconą aż do dnia zupełnego wykonania. To niedosyć na tém..... Przysiągłem, że palec, świadek i wykonawca zbrodni i gwałtu dokonanego na oczach ofiary, poniesie storazy świadectwo méj zemsty na szyi przeklętego potomka, wychodzącego z ich krwi, a ten ślub będzie wykonanym jak pierwszy.

W tém miejscu, Janko przerwał po raz drugi swoje opowiadanie i zdawał się rozmyślać w duchu, gdy jego wzrok wpatrywał się badawczo w nas z widoczną niespokojnością.— Cudzoziemcy! mówił dalej, gdy ten wyrok zaprzysiągłem na głowy moich nieprzyjaciół jako nie odwołany, pojechałem do Szumli, gdzie się już zbierały w tym czasie wojska różnych narodów. Kupiłem na wagę złota, najlepszą broń jaką mogłem znaleźć w bazarach, lub za pasem dowódców Kurdystanu. Jeden oficer madziarski w służbie tureckiej sprzedał mi te rewolwery sześciourko-

we i nauczył mnie robić ładunków. Niemiec zamienił swój sztuciec żłobkowany za mojego turkomańskiego ogiera. Ztamtąd udałem się do mojego czyfliku (stadniny) Karahom, gdzie wybrałem pomiędzy dwudziestą żrebcami zdolnemi do ujeżdżania, młodego ogiera z rasy plewsińskiej, któremu ujeżdżał i tresował przez trzy miesiące, ażeby był zdolnym do wykonania wszystkich ruchów i obrotów podług mojej woli. Jest to ogier, któregoście widzieli przywiązane go na dziedzińcu. Ma on nogi sarny, boki wilka i krzyż bawoła. Z takim koniem i uzbrojony jak jestem, mogę sobie żartować ze wszystkich tureckich jeźdźców, by mnie uprzedzić zdołali w ataku, lub prześcignąć w biegu.

Moja zemsta miała się rozpocząć w Sylistryi. Mój wróg basza, niech dusza jego będzie na zawsze przeklęta, był jednym z głównodowodzących załogą. Działo się to niejaki czas przed przybyciem Rossyan nad Dunaj. Wielu oficerów cudzoziemskich pod dowództwem gubernatora Mussa baszy zajmowało się pracami fortyfikacyi. Przybywszy do Sylistryi, stanąłem w gospodzie Bułgarskiej w bliskości bramy Stambulskiej. Basza przejeżdżał często tamtędy z oficerami sztabu. Wieczorem uzbroiwszy się i okrywszy burką, wsiadłem na koń i wmieszałem się pomiędzy ostatnich jeźdźców eskorty przejeżdżającej jak zwykle. Gdyśmy przejechali bramę i przybyli pod mury fortecy, oficerowie tureccy podług ich zwyczaju puścili w wyścigi swoje konie. Basza który miał turkomańskiego rumaka, wkrótce ich wszystkich prześcignął; ja korzystając z nieładu puściłem się z wolna za nim. Gdy już nie byłem od niego jak o sto kroków, ścisnąłem mojego konia, rzuciwszy mu cugle na szyję. Przyzwyczajony być mi posłusznym za najmniejszym dotknięciem, przebiegł pędem nawałnicy około baszy, gdy ja tymczasem zerwałem go z siodła i rzuciłem przed siebie zgiętego we dwoje z głową i nogami zwieszonemi na łęk mojego siodła: ścisnąwszy całą siłą tą razą ostrogami mojego dzielnego bieguna, rzuciłem go naprzód. Uczuwszy bodźca, mimo podwójnego ciężaru, podskoczył jak wilk ścigany przez psiarnią i obiegłszy szalonym pędem kąt wystającej basz-

ty, w kilka minut znikł przed oczyma ścigających mię Turków.

Po półgodzinnym biegu w zawodach z wiatrem, zwinilem pęd i skierowałem się ku stronie Dunaju. Przybyszy zmierzchem w miejsce nadbrzeża bezludne i właściwe do wykonania mojego zamysłu, zrzuciłem z siodła ciało baszy, które pozbawione życia potoczyło się w piasku. Zsiadłem z konia i związałem go sznurem... Jego zemdleńie trwało dość długo, świeżość nocy powróciła mu jednak przytomność. Gdy mię zobaczył stojącego przed sobą z założonemi rękoma, poznał mię, i zadrżał przerażony wyrokiem śmierci, który wyczytał w mojem spojrzeniu... — Czy mię poznajesz, baszo? rzekłem do niego; przypomnij sobie Srebrniję... przypomnij sobie Janka czorbadzkiego, którego gościnność zgwałciłeś zbrodnią, shańbiłeś dom, splamiłeś i zboczyłeś krwią łożę małżeńskie... Ja jestem tym człowiekiem!.. ja biedny rajah bułgarski trzymam teraz twoje życie w mém ręku, jestem panem osądzenia cię i ukarania... Gdybyś był takiego wyznania jak ja, najstraszniejsze katusze niezdolałyby cię zadłuszyć ukarać za boleść jakąś mi zrządził; lecz ty jesteś nikczemnym bałwochwałcą, bez wiary i sumienia, a twoja dusza jest najprzód skazaną. Jeden więc tylko sposób jest godnym ukarania cię, to jest żeby pozostawić twoje cielsko na pastwę wilków i sępów.

— Psie niewierny, zawołał dumny Osmanlis, jeżeli mi przebaczysz, zasieję twoje pola piasrami, wzniosę twój dom wyżej nad wszystkich rajahów w kraju; uznam dziecię chrześcianki za swoje, a jeżeli będzie płci męskiej, zrobię je emirem i jak ja, będzie kiedyś baszą: jeżeli będzie dziewczyna, zrobię z niej ozdobę haremu padyszy. Zresztą będziesz jak ja potężnym, złoto i władza ścierają wszelkie plany. Zgrzeszyłem przeciw prawom proroka, lecz pokusa była wielką i niezwalczoną. Rozwiąż mię i pozwól mi odejść spokojnie. Przysięgam na świętą Kaabę i grób proroka, że dotrzymam słowa. Jeżeli zaś czyhasz na moje życie, to mi go zaraz odbierz; Allah jest naszym twórcą i życie nasze do niego należy.

— Idź więc do piekła złączyć się z twoim fałszywym bogiem, zawołałem, topiąc trzykrotnie mój kandziar

w jego gardle i niech twój prorok będzie przeklętym, jak twoja lubieżna i nikczemna rasa. Krew jego polała się po piasku, lecz to były dopiero pierwsze krople potoku mającego zmyć moją zniewagę. Odciałem mu potem palce od prawej ręki i zostawiwszy cielsko na pastwę dzikich zwierząt, wsiadłem na konia i pojechałem szukać innych ofiar.

Z téj to przyczyny cudzoziemcy nazywają mnie dzisiaj Jankiem hajdukiem. Od tego dnia moja broń stała się mojem jedynem prawem, a moja ręka nie zaprzestaje wykonywać sprawiedliwości. Od Widynia do Szumli i od Szumli do Sylistryi, na samo wspomnienie mojego nazwiska drżą i blednieją Turcy, jak na wyrók śmierci. Czują się zagrożonemi zewsząd niewidzialnym nieprzyjacielem, od którego ustrzedz się nie mogą. Ani ich podstęp, ani przemoc nie straszą mnie, ponieważ moja broń jest pewną, moja ręka niezwalczoną, moje oko nieochybnę, a mój koń jedyny w całej Turcyi. Wychowanek téj krainy, nie masz domu, skały, drzewa, krzaków, którychbym nie zdołał użyć według potrzeby za schronienie lub zasadzkę. Gdy moi nieprzyjaciele są zajęci interesami lub zabawami, ja czuwam ciągle. Oni tracą sposobność, ja ich umiem wynaleźć i z nich korzystać. Nie jednego z nich przesłałem bez boleści ze snu do wiecznego spoczynku; moje kule dosięgły innych w pośród szeregów żołnierzy i na otwartém polu: każdy dzień powiększa jedną śmiercią wyplątę mojej zemsty. Bodajby ten dług mógł być wkrótce uiszczonym w krwi ostatniej z moich ofiar”.

Tu skończył nagle swoje opowiadanie i podparłszy głowę na stole, zakrył oczy, jakby przygnieciony ogromem strasznego zadania, ciężącego na jego sumieniu. W téj postawie z grzywą swych czarnych włosów rozrzuconą i spadającą mu na ramiona, z powiekami napół przymkniętymi pod cieniem gęstych i najeżonych brwi, miał podobieństwo do lwa nasyconego pożogą, spoczywającego i oczekującego nowego łupu. Pułkownik zajęty jeszcze tém, co usłyszał, wpatrywał się w niego zimnym i przenikliwym wzrokiem. Co do mnie, oddany wzruszeniu, pierwszy też przerwałem milczenie.

—Ty, który się chelpisz być chrześcianinem, rzekłem do Janka, czy nie wiesz o tém, że nam nie wolno nawet za wyrządzoną krzywdę używać prawa odwetu i zbrodnią mścić się za zbrodnię? Twoja przysięga jest obrzydliwą i zamiast cię uniewinniać, potępia cię. Zabiwszy prawdziwego przestępcę, nie dosyćżeś został pomszczonym? Dlaczego poświęcać twój zemście tyle ofiar? Gdyż mówiono nam i ty sam zeznajesz, że wielka liczba Turków padła już pod twemi ciosami; ileż więc ich zabiłeś?

Oczy Janka zaiskrzyły się dziką dumą; jednak nie śmiejąc ustnie odpowiedzieć na moje zapytanie, nie ruszając się z miejsca, podniósł tylko głowę wspartą na ręce i gestem niemym, lecz strasznym wzniosłszy po trzykroć w górę swoje otwarte ręce, potem raz jeszcze jedną rękę, oznajmił nam tym sposobem liczbę swych ofiar.

—Trzydziestu pięciu! zawołałem zdziwiony i przerażony zarazem.

Janko, skinieniem głowy odpowiedział, że tak.

—Cudzoziemcy! zawołał z energią, chcieliście się dowiedzieć o moich zdarzeniach, opowiedziałem je; chcieliście zgłębić rany mojego serca, odkryłem je przed wami nagie i krwawiące się jeszcze; błagałem was, byście mię nie sądzili bez wysłuchania, a teraz nie zapytujcie mię więcej. Co się stało, odstać się nie może. Moja przysięga ciąży całym ogromem na mojem sumieniu, czuję to; lecz mam przekonanie, że przed Boskim trybunałem zbrodnię Turków przeważą szale sprawiedliwości: ręka więc moja zostanie wzniesiona nad nimi, dopóki nie otrzyma odkupu krwi aż do ostatniej kropli.

—Nie do ciebie należało stanowić liczbę ofiar, rzekł surowo pułkownik, lecz do sądu twojego kraju, który sam tylko posiada prawo ukarania winowajców.

—Sprawiedliwość sądu! zawołał z goryczą Janko, czyż ona istnieje w Turcyi. Kogo się o nią zapytać? i od kogo ją otrzymać? Prawa, my nie posiadamy innego prócz ich fałszywego proroka: jestto broń obosieczna, straszna w rękach możnych panów, lecz której słabi i biedni dotknąć się nie mogą bez zranienia. Poniosęż skargę przed mehkemet (sąd) baszy? On nigdy nie wymierza sprawiedliwości chrześcianom, tylko za świa-

deetwem muzułmanów, gdyż żaden chrześcianin świadkiem być nie może. Mamże się udać do medgersów (trybunał duchowieństwa)? zostanę oszukany, jak tylu innych przez grabieżnych ulemanów i chciwych waladików (biskupi i księża greccy). Wzniosęż mój głos błagalny aż do padyszy Stambułu? Jakże zdołam być usłyszany przez to bożyszcze ciemne i głuche, ja biedny rajah bułgarski? Żadna cudzoziemska chorągiew nie ochrania mię swym cieniem; głos żadnego z konsulów nie zechce przebieć dla mnie murów dywanu; nie ma więc dla mnie przeciw osmanlim innego sędziego, jak ja sam; innego świadka, jak krew ich ofiar; innego wyroku śmierci prócz tego, który wypada z lufy mojego sztucca. Wy, co jesteście wojskowemi, pełnemi prawości, honoru i odwagi, raczcie odpowiedzieć na jedno zapytanie Janka hajduka: cobyście zrobili na jego miejscu?

Pułkownik otwierał już usta z odpowiedzią gdy jég przeszkodziło hałaśliwe przybycie niespodziewanego gościa.

Nowo przybyły miał na sobie ubiór albański: był to człowiek wysokiej postawy, chudy i wysmukły, jednak muskularne członki oznajmiały siłę i zręczność. Oblicze męzkie i wyrazistej piękności, lubo w tej chwili odbijał się na niém dobry humor, miało wyraz jeszcze bardziej rażący niż zarozumiała duma osmanlisów. Wzrok był dumny i zaczepliwy, uśmiech dziki, mowa ostra i ucinana. Nosił swobodnie, lecz w sposób nieco teatralny kształtny ubiór arnaucki, składający się z białej kurtki haftowanej zielonym jedwabiem z długimi spadającymi rękawami, z żółtej jedwabnej kamizelki, ozdobionej srebrnymi guzikami, z fezu (krymki) kształtu konicznego, nie dbale zasadzonego na obfitych czarnych włosach, z kamasz z czerwonego sukna, i z fałdzystej z białego płótna spódnicy (sutanelli) ściśniętej około bioder czerwonym jedwabnym pasem, za którym była zatknięta broń różnego rodzaju. Pyszny ten żołnierz trzymał oprócz tego w ręce karabin, pięć stóp długości mający, z kolbą wysadzaną perłową macicą i ozdobiony dziesięcioma bączkami (skówka) srebrnymi, na którym się wspierał z dziką obojętnością.

— Przez sól i chleb!.. zawołał, postępując zuchowato ku nam nieskłoniwszy się nawet, widząc że się tu wesoło bawicie w wilczej jamie, gdy tymczasem psy strażnicze zdychają z głodu. Kto jesteście cudzoziemcy? dodał mierząc nas beczelnym wzrokiem, zkąd przybywacie?.. Co tu robicie?..

— Ty sam powiedz najprzód kto jesteś i jak śmiałeś wejść tutaj bez naszego pozwolenia?... odpowiedziałem, zdołając zaledwie utrzymać zimną krew; jeżeli nie chcesz być natychmiast ukaranym za twoją beczelność!..

— Mohallah! zawołał śmiejąc się do rozpuku. Trzeba żebyście byli Francuzami, żeby coś podobnego powiedzieć.... Tak, wy jesteście oficerowie francuzcy przybywający z obozu Omera baszy. Lecz niewypada, żeby waleczni ludzie kłócili się między sobą, chyba gdyby szło o krew. Francuzi i arnaucci są braćmi i byli zawsze złączeni jak pięć palców ręki. Ja jestem agą dowodzącym oddziałem przy wąwozie Mostaru.. Nazywam się Pitzelio-Phrassari z pokolenia Karapleisia, nie taję się z tém przed nikim. Otrzymałem rozkaz od baszy Sylistryi, żeby uchwycić żywego lub umarłego, pewnego człowieka z téj wioski, rajaha bułgarskiego zwanego Jankiem, który poróżniwszy się z władzą stał się hajdukiem... Lecz trz. mrt, ja sobie kpię z ich pisma. Oto galem (pióro), którym podpisuję moje kontrakty; rzekł uderzając w kolbę swojego karabina. Za głowę tego giauraznaczono w Konstantynopolu 10,000 piastrów, możecie więc pojąć, że dla takiej zwierzyny potrzeba takiego jak jestem strzelca. Wskazano mi jego dom i powiedziano, że niedźwiedź często się wałęsa koło swojej jaskini, dla tego tu przyszedłem z pięcioma pandurami. A to kto jest? dodał spostrzegłszy raptem Janka siedzącego i nieruchomego jak posąg kamienny... Czy to jeden z ludzi waszój eskorty?.. gdyż we wsi spotkałem kilku z tych zgłodniałych szakali anatolskich plądrujących tu i owdzie żeby odszukać jaką kość do ogryzienia; lecz niech przekleństwo Allaha spadnie na mnie, jeżeli ten rabuś nie jest czystym prosiakiem bułgarskim!.

— Powiedz raczój dzikiem, Phrassari ago, odrzekł zimno hajduk: ja jestem Jankiem hajdukiem.

— Ty!.. zawołał dowódzca arnautów, wydając prze-
rażliwy śmiech, podobny do krakania drapieżnego ptaka...
Ach! jakżem ja głupi, żem cię po twoich kłach nie poznał...
Apherina! (brawo) nie spodziewałem się znaleźć cię w tak
piękném towarzystwie!.. Więc wiesz jaki masz rachunek
do obliczenia z Turkami, to mię wcale nie obchodzi; ty
masz tylko dla mnie wartość dziesięciu tysięcy piastrów:
ot wszystko. Jesteś więc zanadto cennym, żebym cię
spuścił z oka, nie usiłuj się nawet bronić, bo moi ludzie
są za drzwiami. Zresztą gdyby ci przyszło coś podobne-
go do głowy, musielibyśmy ci ją uciąć.... a mimo tego
nie straciłaby ani jednego piastra z swojej wartości, ha,
ha, ha!...

Podczas tej rozmowy, pułkownik, który nie rozumiał
dokładnie z tej mieszaniny tureckiej o co idzie, zerwał się
niecierpliwie.

— Powiedz temu wielkiemu albańskiemu drabowi,
zawołał, że jeżeli się ztąd natychmiast nie wyniesie, wpa-
kuję mu jego przechwałki wraz z jego bezczelnym języ-
kiem w gardziel. Ja nie jestem oślim baszą tureckim,
żebym znosił podobne hałasy w mojej obecności.

Z wielkiem zadziwieniem, ta groźba, którą co do-
słownie bez obwijania w bibułę przetłumaczyłem adze,
zamiast go wzruszyć, podwoiła jego wesołość. Ah! Ah!
Apherin! zawołał, Francuzi lubią żarty jak i arnauci.
Niech Allah zniszczy Turków i tych wszystkich co im
są podobni!.. ha ha ha!...

— Psayde tchig (precz ztąd), aciladiag (zwierzyno
szubienicy), zawołałem zaczynając się unosić; wiedz, że nie
ma nic wspólnego pomiędzy Francuzami i ludźmi tobie
podobnemi: pamiętaj, że miralaë nie żartuje. Jeżeli się
ośmielisz dotknąć jednego włosa głowy tego człowieka,
nie dałbym jednego para za twoję.

— Mahallah! więc to tak, krzyknął aga wznosząc
groźnie swój karabin: Francuzi, Turcy, lub diabli wiedź-
cie, że Pitzelio Phrassari, nie obawia się niczego, i od ni-
kogo nie odbiera rozkazów. Ten człowiek do mnie na-
leży, a ten któryby mi wzbraniał ująć go, mógłby za to
własną skórą zapłacić! Ale co tu rozprawiać.

— No, djanem, pójdź za mną jak baranek za owczarzem, jeżeli sobie nie życzysz żebym przesłał twoją duszę do nieba gjaurów.

Wymówiwszy te słowa, aga arnautów poniosł rękę do ust i gwiznął przeraźliwie: na ten znak wpadło do izby pięciu ludzi uzbrojonych z dzikiem wejrzeniem, i zupełnie ubranych w bieli.

Położenie nasze mogło się stać krytycznem, postawa zaś nowo przybyłych zdawała mi się tak mało zapewniającą, że żałowałem że się nasi turkomańscy jeźdźcy oddalili, gdyż ich obecność mogłaby nam być użyteczną. Lecz pułkownik, który w Algierii więcej niż dwadzieścia razy stawiał czoło arabskim jataganom, nie zatrząsał się tak łatwo, niebezpieczeństwo zaś zdawało się podwajać jego przytomność umysłu.

— Mój drogi G..... rzekł do mnie z najzimniejszą krwią, pokażmy tym opryszkom, że oficerowie francuzcy umieją się kazać wszędzie szanować i łącząc czyn do słowa, dobył szabli i stanął rezolutnie przed Albańczykami wskazując im drzwi, rozkazującym gestem. Ja z méj strony odwiodłem pistolety, zdecydowany bronić do upadłego honoru imienia francuzkiego. Mimo jednak odwagi pułkownika i jego dokonanej doskonałości w szermierstwie, możeby się źle ta walka dla nas ukończyła, gdyby jég następstwa w mgnieniu oka nie były przewidziane nadzwyczajną przytomnością umysłu Janka. Chwytając i odwodząc dwajręcznie swoje groźne rewolwery, wymierzył je raptem w piersi agi, nim ten zdołał użyć swéj długiej strzelby i grzmiącym głosem, niedozwalającym ani wahania ani odpowiedzi zawołał:

— Złóż broń, lub po tobie! Słuchaj Phrassari ago, dodał: twoje życie jako téż i te twoich towarzyszy są teraz w moich rękach i jesteście zamknięci jak mysz w szponach kota, a gdyby były nawet podwójne, i gdybyście ich nawet dwa razy wystawić zdołali, w tych pistoletach znajduje się dwanaście kul, które nigdy śmierć nie zawiodły. Gdybyś był moim osobistym nieprzyjacielem, byłbym cię zabił, nimby powietrze którym oddychasz zdołało przejść z piersi do ust; lecz ja często siadywałem przy ogniskach kleptejskich górali i zaprzysiągłem im

przyjaźń na chlebie i soli. Pomiedzy mną i arnautami nie ma wykupu krwi, nie chciałbym więc przelewać pierwszej kropli; lecz za najmniejszym poruszeniem z twój strony przeciw mnie lub moim gościom, wiedz o tém, że idzie o twoją głowę, a téjby ci nawet wszystkie piastry sułtana nie zapłaciły... Oddał się więc spokojnie, jeżeli nie chcesz żeby ci szlachetni cudzoziemcy sądzili, że twój rozsądek jest za krótki a twój język za długi. Zresztą, żeby was nawet stu było ubiegających się o nagrodę naznaczoną za moję głowę przez osmanlisów, ani ty, ani twoje pandury nie pochełpicie się nigdy, żeście ujeli Janka hajduka.

Trudnoby było oddać wrażenie wywarte na obecnych tą przemową wymówioną wśród zawieszenia broni w sposób bohaterów Homera. Dziaki aga, jakby odurzony widokiem paszcz dwóch rewolwerów wymierzonych w niego, zachowując jeszcze groźną postawę, zdawał się jednakże usposobionym usłuchać rady roztropności; gdy zaś jego towarzysze robili z cicha różne spostrzeżenia nad cudownym mechanizmem broni. Pułkownik nie wiedział, czy się ma gniewać, czy włożyć spokojnie szablę do pochwy; ja zaś przewidując pokojowy koniec téj burdy, spoglądałem kolejno na przeciwników więcej przez ciekawość, jak w wojowniczych zamysłach, nie zdołałem się powstrzymać od śmiechu. W oczekiwaniu koniec został przyspieszonym w samą porę przybyciem nowój osoby, która wpadła jak bomba pomiędzy nas do izby. Był to nasz kucharz Tomasz, w całej okazałości stroju swojej służby, to jest opasany około bioder zasmoloną ścierką, z rękawami zakasanymi aż do ramion i z uzbrojoną ręką kuchennym zbroczonym w krwi swych ofiar nożem. Żeby pojąć wrażenie sprawione na naszych przeciwnikach tą niespodziewaną odsieczą, trzeba było widzieć wiernego zuawa w tym ubiorze z zaciśniętymi muskularnymi członkami, jak u Herkulesa farnezkiego z Sokratyczną twarzą najeżoną rudą rozpościerającą się po karku nerwistym brodą, z małemi siwemi i jak stal przebijającemi oczyma, z ogoloną i jak kula armatnia okrągłą czaszką, na której unosił się zaledwie z niechcenia fez z kutasem spadającym mu na ramiona; trzeba go było nadewszystko widzieć przed nieprzyjacielem, zadziwiającego najodważniejszych

nawet swoją nadzwyczajną nieustraszonoscią i odwagą, nie tracącego nigdy stoicznej powagi i niczém niewzruszonej zimnej krwi, żeby dobrze osądzić różne wrażenia, jakie jego niespodziewana obecność wywarła na nas. Aga cofnął się, spostrzegłszy go, a na jego twarzy malowało się największe zadziwienie; pułkownik się uśmiechnął; pandury uszykowali się roztropnie pod ścianą, a Janko nawet przestawszy mierzyć w swego przeciwnika zdawał się mu przypatrywać z pewną ciekawością. Tomasz nie był sam, twarz miedziana turkosa Mohameda mego ordonansa, okazała się prawie zaraz we drzwiach o parę kroków za zuawem, a tuż za nimi ujrzałem kilku baszybuzuków rzucających w głąb izby zadziwione i dzikie wejrzenia.

— Znajduję cię наконец! mój pułkowniku, rzekł szorstko stary wiarus, głosem ochrypłym od prochu i wódki, pana tłumacza także. Chwała Bogu! Ale eréchien, nie bez trudności. Obiad już jest gotów od godziny; jeżeli teraz zimny, to nie moja wina. Major głowę stracił z gniewu, a ja widząc to, udałem się waszym tropem dopytując się gdzie jesteście, tych urwisów baszybuzuków których spotkałem pładrujących po wsi; ale te beduiny tureckie są tak durne, że nie rozumieją wcale zuawskiego języka. Niech ich diabli wezmą z ich bilmen (nie wiem)! Nakoniec ten stary piernik, którego nazywają swym szauchem, przyprowadził mię do téj kambieczy (ciupy).... Ale jak widzę że się tu czubią bezemnie... Co to ma znaczyć?.. pistolety, pałasze, i inne narzędzia śmierci. Czy to nie te wielkie drągale w spodnicach, co tu chcą chwytów udawać? *C'est fameux par exemple*, i to przed oficerami francuzkiem! *milles tonneurs*, to prawdziwa fantazyja! Mój pułkowniku, włóż pałasz do pochwy i dozwól mi się z nimi zabawić, nauczymy ich tańczyć ja i Mohamed.... Uwaga!... naprzód szakale i turkosy!

I łącząc do rozkazu przykład, Tomasz uchwycił do wódcę arnautów za pas, Mohamed zaś skoczył jak kot dziki do szyi jednego z pandurów.

Mimo swój atletycznej postawy, aga Phrassari musiał się uczuć zgniecionym pod niezwalczoną ręką zuawa; ujęty jakby pomiędzy zęby maszyny, ciało jego wstrząs-

nięte w całej wysokości, kiwnęło się dwa lub trzy razy, nogi podskoczyły i padł na ziemię z wielkim hałasem o kilka kroków od nas, zerwał się jednak szybko: spodziewałem się, że w odwecie użyje swęj broni; lecz chytry Albańczyk obrachował jednym rzutem oka miarę sił naszych. Zamiast gniewać się za swój upadek, rozśmiał się hałaśliwie, w czém widać jednak było więcej gniewu jak wesołości.

— Bono Fransoso! zawołał strzepując fałdy swojej spodnicy. Pomiedzy przyjaciółmi nie trzeba być zawistnym, gra szczerą zawsze być powinna, a ten co przegra, powinien zapłacić oczekując odwetu sposobnego. Serce mężne, język prędkie, ręka silna: takimi jesteśmy my arnaucci, z dobrą strzelbą w ręku kpimy sobie ze wszystkich praw i tych co je wymyślili, ha, ha, ha!...

— Co on mówi, zapytał mię Tomasz z drwiącą miną, zdaje się że zagustował w lekcyi.. Matin! dodał spostrzegłszy raptem zaszępioną twarz Janka.

A to mi drab uzbrojony, jak blokaus (forteczka), zdaje mi się, że musi być dowódcą bandy. Czy go trzeba zahaczyć mój pułkowniku?

Uczciwy zuaw, jak wszyscy jemu podobni, tak się w Afryce przyzwyczaił działać bez komendy, że już położył swoją szeroką rękę na ramieniu Janka, nim pułkownik miał czas usta otworzyć lub wykonać gest wzbrańający téj nowéj napaści. Wynik téj walki nie byłby może uwieńczył tą razą jego śmiałość, gdyż Bulgar z siłą przynajmniej równą jego, miał oprócz tego wyższość swęj groźnéj broni; lecz ten człowiek w zawodzie niebezpiecznym, w którym ciągle wystawiał swoje życie, tak umiał nad sobą panować, że zamiast stawić najmniejszy opór, nie zdawał się nawet uważać na to, wlepił tylko swoje przenikliwe oczy w pułkownika. Ten zrozumiał, jakie niebezpieczeństwo groziło swojemu wiarusowi, gdyby nie przeszkodził temu natychmiast.

— Stój, Tomasz! zawołał surowo. Niech djabli wezmą zuawów i ich furę francuzką. Czy nigdy nie będziesz umiał czekać rozkazów twoich dowódców, stary laskarze? Daj pokój temu człowiekowi. My jesteśmy jego gośćmi

i gdyby nie on, bylibyśmy przepędzili przykrą chwilę z temi łotrami Albańczykami.

— To jest dostateczném, mój pułkowniku, — rzekł Tomasz trochę zmieszany, — żebym był wiedział, że to jest uczciwy człowiek!... Lecz trzeba prawdę powiedzieć, że nie wyglądają z miny na takich w tym przekętym kraju.

Pułkownik się uśmiechnął: — No, już czas skończyć z tą hołotą.... Idź przecz, dodał, zwracając się do agi arnautów i na drugi raz umiej szanować Francuzów, gdy ich znajdziesz na swój drodze.

— Francuzi, arnaucci, — rzekł bezczelnie Phrassari wychodząc za drzwi — byli zawsze złęczeni jak pałasz z pochwą. Nic sobie niewinni i nic od siebie żądać nie mogą. Idźmy, moje anioły, rzekł do swych pandurów, i cierpliwości! kiedyindziej znajdziemy może wilka przy drzwiach owczarni.

— Cudzoziemcy! — zawołał Janko wstając raptem, nadeszła chwila rozstania. Świat jest wielki, a drogi, po których w nim chodzimy, są różne: może się już nigdy nie spotkamy. Lecz nigdy nie zapomnę honoru, jakiście zrobili mojemu biednemu domowi. Ja jestem tylko biednym wieśniakiem bułgarskim, a wy jesteście francuzcy oficerowie. Dzieląc się jednak ze mną chlebem i solą, wasze oczy spotkały się z mojami i boleści mojego serca znalazły echo w waszych... Ręce tylko nasze zetknąć się nie mogą. Lecz gdy wybije godzina pomszczenia mojego kraju za zbrodnie Turków, z powrotem do Francyi, lub nad brzegami Dunaju, wspomnijcie o Janku hajduku. Bóg z wami.

I skłoniwszy się nam po raz ostatni, cofnął się, pochnął żywo małe drzwi znajdujące się za nim i znikł, jak wszedł bez hałasu.

Pandury, nie życząc sobie mieć długiej rozprawy z dwoma naszymi Afrykańczykami, roztropnie się wynieśli z domu; baszybuzuki uradowani z przygody arnautów, rozpięchli się znów po wsi.

Wychodząc z domu, nie znaleźliśmy tylko nieszczęśliwą żonę Janka zawsze siedzącą pod szopą na jedném miejscu, kołyszącą swoje dziecko na kolanach, jedyny przedmiot, który się zdawał przywiązywać ją do życia.

Dom hajduka służący przed chwilą za widownią najhałaśliwszych scen, stał się pustym i milczącym.

Napróżno pułkownik i ja szukaliśmy wzrokiem przepyszne go bieguna, którego widok tyle nas zajął, wchodząc: znikł jak jego pan. Zaledwie jednak wyszliśmy za bramę, ujrzelśmy staruszkę wychodzącą z małych drzwi stajni, prowadzącą konia swojego syna za cugle; w tej samej prawie chwili Janko się ukazał. Rzucił szybkim wzrokiem około siebie i wskoczył na siodło, nie dotknąwszy się strzemienia. Zaledwo gniady ogier uczuł na sobie swojego jeźdźcę, dał ognia z czterech kopyt po skalistym gruncie i ruszył z szybkością diabła pędzonego exorcyzmem.

Z powrotem do obozu znaleźliśmy rądle i kociołki powywracane. Major znudzony oczekiwaniem, poszedł się rozerwać w okolicy wypróbowaniem nowej strzelby arcydzieła Dewizma. I gdy zwodził głód i oczekiwanie, strzelając na wiatr, banda psów blakających się, które są istną zarazą tureckich włości, zwiwszy zdaleka zapach naszej kuchni, nadbiegła, rzuciła się na nasze rądle i kociołki, w których gotował się zwolna obiad i z żarłocznością prawdziwie psiego głodu wszystko uniosła oprócz sucharów, na których sobie tylko zęby zaostrzyła. Ordynans majora uczciwy Beryszończyk, którego straży była powierzona kuchnia w nieobecności Tomasza, spał snem sprawiedliwego pod namiotem podczas tego napadu i obudził się właśnie, gdy już wszystko było pożarte. Psy tureckie nie szczekają, ale za to kłapią jak wilki, biedny więc chłopiec miał dosyć do czynienia, żeby uniknąć losu Akteona.

Opisać rozpacz majora po powrocie ze spaceru byłoby rzeczą nad nasze siły. Nadchodząca noc położyła tamę jego narzekaniom, jakoteż komentarzom żołnierskim Tomasza i jego towarzysza Mohameda nad wypadkami upływnego dnia.

Nazajutrz ze wschodem słońca, zwinąwszy namioty i zapakowawszy bagaże, wsiedliśmy na koń, opuszczając Srebrnią, drogą ku Sylistryi.

